

Pandemia i kooperacja

29 maja 2020

Po lekturze pierwszych akapitów artykułu prof. Hartmana „Nie potrzebuję waszej troski” (wydanie świąteczne „Gazety Wyborczej” z 16 maja 2020) uznałem, że w końcu ktoś w jasnych słowach opisał sytuację, w jakiej znaleźli się obywatele współczesnych państw demokratycznych: „z dnia na dzień niewielka grupka mniej czy bardziej anonimowych urzędników i ekspertów „bez krępacji” i niewiele się tłumacząc, wsadziła świat do aresztu”.

Szybko jednak doszło do mnie, że podzielenie tych samych diagnoz nie musi prowadzić do podobnych konstatacji dotyczących terapii. Te drugie zaś stanowią rodzaj deklaracji nie tylko ideowej, ale wręcz cywilizacyjnej. Zgadząc się więc z profesorem, że jako obywatele znaleźliśmy się w opałach wynikających ze „stanu wyjątkowego”, jaki fundują nam państwa, nie zgadzam się z przekonaniem, że przed autokratyzmem z jednej strony i zbiorową histerią z drugiej, uchroni nas permissywizm zwrócony przeciw metodom sanitarnym (m.in. rzucenie masek, które jakoby „zakrywają nasz wstyd”) oraz obrona cnót – godności i wolności. W tym kontekście godność sprowadzona zostaje do abstrakcyjnego arystokratyzmu ducha, wolność zaś do indywidualistycznie pojętego oporu wobec reguł wzajemnej troski obywateli o bezpieczeństwo swoje i innych.

Przyglądając się rozmaitym zachowaniom Polaków w trakcie pandemii rzuca się w oczy rodzaj specyficznej niekonsekwencji. Zakładamy (choć wraz z coraz bardziej chaotycznym przekazem władz coraz mniej gorliwie) maski i zachowujemy bezpieczną odległość w miejscach szczególnie narażonych nie tyle na obecność wirusa, co upominającego policjanta. Gdy tylko znajdziemy się poza nimi, w pracy czy sklepie, od razu pojawia się ulga: „ufff, możemy już zrzucić te idiotyczne okrycia”.

Czy ten akt blagierstwa wynika po prostu z niewiedzy i

obojętności, a może czegoś więcej – z wrodzonej polskiej przekory? A może z indywidualnego oporu, który każdy z nas stosuje, radząc sobie jak może z narzucającą mu niepoważne obostrzenia władzą? Zdaje się, że ani jedno, ani drugie. Hipoteza przekory oparta jest na założeniu o zbiorowym cynizmie, jaki miałyby znamionować z istoty Polaków, ten zaś zakładałby jakąś metafizyczną istotę narodu, przecząc ustaleniom dwustu lat nauk społecznych. Dostrzeganie zaś w unikaniu środków bezpieczeństwa dysydenckich intencji wydaje się zwyczajnie śmieszne. Moim zdaniem powód jest zupełnie inny i leży nie w charakterze narodowym, lecz w stosunku łączącym Polaków z ich państwem. Najlepszym słowem, jakim można by ten stosunek określić, jest według mnie „obcość”. Państwo jako organizacja życia zbiorowego stanowi w polskiej kulturze politycznej twór o zgoła ambiwalentnym bycie. Z jednej strony, jesteśmy ulegli wobec zarządzeń onnipotentnego Lewiatana. Podporządkowujemy się mu w sferze publicznej, a tym samym zrzucając na niego ciężar wszelkiej organizacji i sprawczości, pozbywając się wraz z nimi woli politycznej. Z drugiej, postrzegając państwo jako twór obcy i odległy, usiłujemy przechytrzyć je w każdy możliwy sposób, zasłaniając się jednocześnie retoryką obrony naszej indywidualistycznej cnoty.

W pierwszych latach XX wieku Edward Abramowski – filozof, psycholog i wielki ideolog kooperacji – pisał: „Przyzwyczailiśmy się uważać siebie za materiał, z którego ktoś inny urabia rozmaite formy; przy każdej sposobności ofiarowaliśmy siebie: »zróbcie z nas to lub owo; zróbcie z nas społeczeństwo konstytucyjne, demokratyczne lub społeczno-demokratyczne; zreformujcie nam szkoły i szpitale; ochrońcie przed nędzą i wyzyskiem«. Cała mądrość polityczna zawierała się w tych prośbach czy żądaniach reformy. Wszystkie ideały chyliły się przed tym jednym: Państwa-Opatrzności. Ono miało za nas myśleć i działać, miało nas karmić, uzdrawiać, chronić. I to się nazywało u nas »demokracją«”.

Nietrudno zauważyć analogię, jaka łączy te słowa ze

współczesnym kontekstem. Państwo wydaje nam się zewnętrzną strukturą, więc omijamy jego nakazy, jednak nie potrafiąc stworzyć alternatywy wobec niego, oddajemy mu coraz więcej władzy w sferze publicznej. Nie dostrzegamy w ten sposób faktu, że zawłaszczająca potęga państwa jako emanacji interesów tej czy innej partii idzie w parze z jego niekompetencją, gdy chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa swoim obywatelom. To winno wykraczać dalej niż cedowanie na nich odpowiedzialności za los bliźnich poprzez przymusowy social distancing.

Zrzucając maski i przekraczając bariery fizycznej izolacji mamy nadzieję zrobić państwu na złość. Reakcja ta wynika jednak wyłącznie z braku lepszych repertuarów kontestacji i samoorganizacji, które pozwoliłyby nam na wytworzenie faktycznej „populacyjnej odporności”, nie poprzez masowe „przechorowanie” COVID-19, ale poprzez przygotowanie do epidemii na poziomie ekonomicznym, edukacyjnym, a przede wszystkim medycznym (jak choćby zwiększenie ilości testów na obecność koronawirusa u pracowników służby zdrowia czy dbanie o spójny harmonogram obostrzeń i odmrożeń w trakcie pandemii). W tym czasie władza zajmuje się przede wszystkim wsparciem dla sektora finansowego oraz walką o doraźne cele polityczne, zrzucając na jednostkę ciężar zabezpieczeń i paraliżując wspólnotę, której boi się najbardziej. Słabe społeczeństwo to przecież mocne państwo.

Abramowski i inni kooperatyści przełomu XIX i XX stulecia wyobrażali sobie wspólnotę jako sieć sfederalizowanych stowarzyszeń, których działanie oparte będzie na samorządności i pomocy wzajemnej. Przekładając te kategorie na rzeczywistość polityczną naszego stulecia – nie chodzi o to, czy można znieść państwo przechodząc do jakiejś wyidealizowanej anarchii, ale o to, czy można osłabić wszechwładzę państwowej biurokracji. Chodziłoby zatem o taką organizację życia zbiorowego, która utrzymując sprawność organizacyjną, nie wysysa politycznej inicjatywy i nie tłumi powszechnej woli

obywateli. Gdzie reguły życia zbiorowego nie stanowią wrogich i niejasnych komunikatów wydawanych przez rządowych ekspertów, ale wynikające ze społecznych deliberacji zasady funkcjonowania wspólnoty.

Tam, gdzie państwa jest po prostu mniej, kooperatyści chcieli widzieć przestrzeń nie dla egoizmu prywatnych interesów (jakby bez państwa nie mogły zawiązać się prawdziwe stosunki społeczne), ale przede wszystkim dla nowoczesnych instytucji politycznych. Społeczne zaufanie nie oznaczało dla nich abstrakcyjnej idei, lecz jawiło się jako zestaw powszechnych i skutecznych wzorców organizacji. Dlatego też naszym naczelnym zadaniem w warunkach pandemii, która najpewniej (po krótkim letnim oddechu) nie skończy się tak szybko, jest stworzenie nowych modeli „zdystansowanej troski”, które pozwolą nam jednocześnie chronić życie najbardziej narażonych (zaawansowanych wiekiem i chorych), a także tych z pierwszych linii frontu – lekarzy czy pracowników usługowych, stanowiących, o czym pandemia przekonała nas pod dwakroć, essential workers.

Walkę z naszą „marnością”, o której pisze prof. Hartman, a której celem miałyby być elitarna obrona godności i wolności, proponowałbym zastąpić postulatem kreowania alternatywnych sposobów życia społecznego. Nadzieje zaś na powrót do starych form demokracji liberalnej – nawoływaniem do tworzenia nowych instytucji politycznego sprawstwa. Etyczne imperatywy dla jednostek należy więc przekuć w „dobro wspólne” rozumiane nie jako abstrakt, ale konkretne działania – bezwarunkową troskę o innych w przestrzeni publicznej, wspieranie związków zawodowych, których działalność może okazać się kluczowa w walce o miejsca pracy, aktywność samopomocową, która zastąpi rozmaite niedomagania państwa, transformacją struktury pracy w kierunku własności pracowniczej, a także zwrócenie uwagi na kwestie ekologiczne – wszakże wirus może być ostatnim ostrzeżeniem przed skutkami nieposkromionej ekspansji ludzkości w środowisku naturalnym.

O tym, że pandemia stanowi poligon przyszłości, wiemy już pewnie wszyscy. Natomiast tego, w jakim kierunku owe zmiany podążą, nie wie tak naprawdę nikt. Jedno jest jednak bezsporne – w ramach pandemii następuje akceleracja zmian, które rozpoczęły się na długo przed pandemią. Czas kryzysu, jaki postępuje na naszych oczach, stanowi znakomite pole dla nowych form współdziałania. Sztuką będzie jednak sprawić, by nie stały się one jedynie przetrwalnikami na czas zawieruchy, lecz laboratoriami nadchodzącej wspólnoty. Nawoływania do sprzeciwu wobec infantylizującej nas władzy i rozwijanie cech odpowiedzialności i uczciwości, mają sens wyłącznie wtedy, gdy zaczniemy postrzegać je jako cechy społeczne, nie zaś indywidualne. Oddając raz jeszcze głos Abramowskiemu: „Tworzenie demokracji przez samo społeczeństwo, tworzenie jej istoty, jej sił wewnętrznych, jest to zarazem uzdrowienie życia i wyzwolenie moralne ludzi”.

Autorstwo: dr Bartłomiej Błesznowski

Źródło: NowyObywatel.pl